

Grzegorz Kasdepke

LATAJĄCY TALERZ

„Latający talerz” wygląda jak zwykła furgonetka z jedzeniem, taka, co to jeździ z imprezy na imprezę, z meczu na mecz, z koncertu na koncert, wszędzie tam, gdzie są ludzie, dużo ludzi – bo w tłumie zawsze znajdzie się ktoś głodny, a jeśli nie głodny, to przynajmniej łakomy, i ten ktoś na pewno „Latający talerz” wypatrzy lub wyniucha.

Zresztą trudno go przeoczyć.

Jest stary, zdezelowany i pomalowany na srebrno. Farba gdzieś już obłazi, ale nie szkodzi, to nawet lepiej – auto sprawia wrażenie, jakby dopiero co wylądowało, a chwilę wcześniej przedzierało się przez atmosferę ziemską, teraz zaś odpoczywa – w oparach dymu i spalenizny. Na dachu tata przymocował atrapę anteny kosmicznej, a na tylnych drzwiach mama wymalowała ufoludki wcinające frytki, hot-dogi i kiełbaski. To musiało być dawno, w czasach, kiedy rodzice jedli jeszcze mięso, na pewno przed narodzinami Stacha, tak z jedenaście lat temu – gdy po Polsce nie jeździło nazbyt wiele furgonetek z jedzeniem. Wtedy jeszcze tata miał odwagę ruszać się „Latającym talerzem” poza Warszawę. Dzisiaj za nic nie pojechałby dalej niż do Wawra czy na Targówek... Mało to razy musiał wzywać pomoc drogową, żeby go doholowano najbliższego warsztatu? Mało to niewybrednych żartów się nasłuchał?

– O matko, a cóż to za rakieta?

Albo:

– To jeździ na benzynę czy na olej do frytek?

Albo:

– Uuu, panie, tu i Lord Vader nie pomoże....

I tak dalej, w tym właśnie stylu.

Inna sprawa, że „Latający talerz” jest naprawdę cudaczny, i to nie tylko jeśli chodzi o wygląd. Cud, że w ogóle jeździ. Jeszcze większym cudem jest to, że co roku pomyślnie przechodzi obowiązkowe badania techniczne. Widocznie znajomy pan mechanik ma słabość

do wegetariańskich burgerów, którymi częstują go rodzice. Albo jest to słabość do mamy, która uśmiecha się do pana mechanika promiennie, próbując odwrócić jego uwagę od charczącego silnika i od nie zawsze sprawnej skrzyni biegów. Za to ekspres do kawy działa w „Latających talerzu” bez zarzutu! Podobnie zresztą jak piecyk, kuchenka i grill.

– Coś tu przecieka... – mruczy pan mechanik, zaglądając pod podwozie.

– O właśnie, proszę skosztować naszego cappuccino! – woła mama.

– I wycieraczki nie pracują... – wzdycha pan mechanik.

– Bo to czas na przekąskę! – Mama klaszcze w ręce, a potem odwraca się do pobladłego taty i prosi o dwa cheeseburgery z serem i ostrą papryczką, dla siebie i dla „naszego przemiłego znajomego”.

Jeżeli Stach jest wtedy z rodzicami, to tylko przewraca oczami, bo dobrze wie, co będzie dalej: tata uruchomi kuchenny sprzęt i przygotuje cheeseburgery, mama zacznie zagadywać bez troski i radośnie, a dwadzieścia minut później pan mechanik przystawi pieczętkę w dowodzie rejestracyjnym furgonetki i odda tacie samochodowe kluczyki, mówiąc:

– No to widzimy się, mam nadzieję, za rok... Ale błagam, zaklinam, proszę ograniczyć wyjazdy do minimum, najlepiej, żeby pan w ogóle tym nie jeździł!

– Ależ oczywiście – odpowiada tata.

Po czym uruchamia silnik i wolniutko wyjeżdża z warsztatu – pyrkocząc przy tym straszliwie i strzelając z rury wydechowej kłębam dymu. A mama i Stach machają panu mechanikowi, który ociera pot z czoła i patrzy z niepokojem na rozdygotany pojazd.

„Ograniczyć wyjazdy do minimum...” – łatwo powiedzieć. Furgonetka jest ich głównym źródłem utrzymania. Owszem, gdyby nie musiała się ruszać z parkingu przed blokiem na ulicy Międzynarodowej, byłaby najlepszą furgonetką na świecie. Niestety, ruszać się musi, bo przecież na tym polega istota handlu na kółkach. Każdego poranka tata zaciska zęby, odmawia swoje dziwaczne ni to zaklęcia, ni to modlitwy kierowane do rycerzy Jedi (oraz innych kosmicznych sił stojących po stronie dobra), a potem uruchamia silnik i wolno, wolniutko jedzie na pobliskie targowisko (po składniki do wegetariańskich burgerów), a później pod Stadion Narodowy albo pod Sejm, albo w okolice królewskich Łazienek czy gdzieś na Starówkę – wszędzie tam, gdzie kręcą się warszawiacy i turyści. Im tłoczniej, tym lepiej. Czasami w tych wyprawach towarzyszy mu tylko mama, a czasami, jak dzisiaj, Stach – gdy nie ma zajęć w szkole albo nie może na nie pójść, bo jest za bardzo pobudzony. Trzeba wiedzieć, że Stach

łatwo się pobudza; jest drażliwy, wrażliwy, a nawet nadwrażliwy – bardzo wszystko przeżywa i gdy się czymś przejmie, trudno go uspokoić. A przejmuje się często, bo jest też inteligentny, odczytany, no i potrafi wyciągać wnioski. Dawno już doszedł do przekonania, że ludzie są szaleni. Oraz głupi. I niedobrzy. Niedobrzy dla siebie nawzajem, niedobrzy dla zwierząt, niedobrzy dla Ziemi. Najlepiej, żeby ich w ogóle nie było!

– Nie przesadzasz? – pyta czasami mama.

– Nie – odpowiada Stach.

Bo Stach niechętnie wdaje się w dłuższe pogawędki. Stach najchętniej porozumiewałby się ze światem, rysując lub pisząc. Gdy musi czasami powiedzieć coś przed całą klasą, czuje, jakby zagipsowano mu usta, jakby ten gips całkowicie wypełnił jego policzki, ba – jakby w nich pęczniał! Stach zaczyna się wtedy dusić, blednie, po czole płynie mu pot, wszyscy na niego patrzą – niektórzy z rozbawieniem, inni ze współczuciem, jeszcze inni z obojętnością – i koniec końców pani nauczycielka łagodnym głosem każe mu usiąść, uspokoić się i napisać to, co chciałby powiedzieć. Stach siada więc, nie patrząc na nikogo, zwłaszcza na Ewę z ławki obok, na Ewę, która jest dla niego tak denerwująco życzliwa: uśmiecha się, zagaduje, podpytuje o czytane przez Stacha książki (ostatnio „Diuna” Franka Herberta), opowiada, że w przyszłości chciałby występować w musicalach (takich jak „Cats” czy „Rodzina Adamsów”), pyta, czy podoba mu się jej nowa fryzura (owszem, może być), zwierza się, że też czasami coś pisze (czyżby?), ma nadzieję, że Stach da jej kiedyś do przeczytania swoje opowiadania (raczej nie), no i mówi, że wcale nie uważa Stacha za dziwaka, bo jej kuzyn również cierpi na zespół Aspergera.

– Ja nie cierpię – wyrwało się Stachowi.

– Nie?

– Nie.

– Nie cierpisz na zespół Aspergera?

– Nie cierpię, tylko mam.

– Co masz?

– Mam zdiagnozowany zespół Aspergera.

– To nie to samo?

– Cierpieć i mieć?

– O rany, wszystko potrafisz doprowadzić do absurdu!

- Może wszystko jest absurdem?
- Mówisz jak pisarz.
- Nie chcę być pisarzem.
- A kim?
- Twórcą gier komputerowych.
- To dlaczego ciągle coś piszesz?
- Bo ktoś musi napisać scenariusze tych gier.
- A o czym one będą?

To samo pytanie zawsze zadają rodzice: o czym będą jego gry?

Różne będą!

Jedne o tym, drugie o tamtym!

Na razie Stach pracuje nad grą, którą zamierza potem odstąpić za darmo jakiejś organizacji zajmującej się ochroną środowiska. To będzie bardzo prosta gra, taka, aby i dzieci mogły w nią grać – uświadamiająca, że robiąc zwykłe głupie zakupy niszczymy Ziemię lub o nią dbamy.

- Protestuję! – zawołał tata, nie odrywając załzawionych oczu od szatkowanej właśnie cebuli. Wewnątrz furgonetki było ciasno, ale i przytulnie. Stach siedział w swoim ulubionym kąciku, za umywalką. Widział stąd całe wnętrze przemienionego w kuchnię auta oraz część kontuaru, nad którym niedługo zaczną pojawiać się twarze zamawiających jedzenie ludzi. Ale na razie „Latający talerz” musi przygotować się do wydawania burgerów. Tata kroci i szatkuje. Mama rozgrzewa palniki. Stach powinien rozstawić na zewnątrz trzy ministoliki i dziewięć składanych krzesełek, tuż przy samochodzie, aby nie blokować alejki prowadzącej do Stadionu Narodowego. To ich stałe miejsce. Obok przystaje czasami pan Jarek, ten od śledzi w bułce, oraz pani Anetka od zapiekanek (w starej przyczepie kempingowej). Przyjeżdża też Basam, Syryjczyk, który robi podobno najlepsze kebaby (jeśli nie na świecie, to przynajmniej na Pradze Południe). Coraz częściej można tu również spotkać cyklistkę Basię, która zatrzymuje po drugiej stronie alejki swój dziwaczny ni to rower, ni to przyczepkę na kółkach, i sprzedaje kawę oraz herbatę. Bardzo rzadko, gdy na stadionie odbywa się jakaś naprawdę duża impreza, przychodzi pan Adam, który praży jadalne kasztany. Francuzi podobno je uwielbiają. A że nieopodal biegnie ulica Francuska, pan Adam uznał, iż jest to idealne miejsce na zapoznanie Polaków z południowym przysmakiem. Jednak na razie więcej kasztanów zostaje niż się

sprzedaje – więc pod wieczór pan Adam wciska je wszystkim za darmo, wręcz na siłę. Stach ma ich już powyżej dziurek w nosie.

– Przeciwno czemu? – spytał Stach.

– Przeciwno czemu protestuję? – Tata otarł zaczerwienione oczy.

– Pewnie przeciwno cebuli? – powiedziała mama.

– Przeciwno nazywaniu wszystkich zakupów głupimi – zasapał tata, a potem wytarł nóż, wytarł deskę do krojenia i sięgnął po pomidory. – Jeżeli robiąc je, przyczyniamy się do niszczenia świata, to tak, są głupie. Ale jeżeli kupujemy mądrze, to wiecie... – umilkł.

Stach zamyślił się, a potem skinął głową, wstał i bez słowa zaczął wyciągać z furgonetki składane meble. Tata ma rację. Stach lubi precyzyjne określenia. Jeżeli coś przyczynia się do złego, to jest głupie. Jeżeli nie, to nie – proste i oczywiste.

– Można już zamawiać? – usłyszał głos Ewy.

Stała przy furgonetce, z boku, od tej strony dla kupujących, zerkając z ciekawością to do środka, to na zajętego rozstawianiem stolików i krzeseł Stacha.

– Ewcia, jeszcze trochę, pięć minut! – zawołała z wnętrza mama. – Usiądź sobie i poczekaj, na razie mogę ci dać coś do picia. Lemoniada?

– Tak, bardzo proszę!

Mama znała wszystkie koleżanki i wszystkich kolegów Stacha – i trzeba przyznać, że cała klasa ją uwielbiała. Tatę także, zwłaszcza od czasu szkolnego balu kostiumowego, na który oboje przyszedli przebrani za postaci z „Gwiezdných wojen”. Tata był Lukiem Skywalker’em, a mama Księżniczką Leią. Udawali, że strzelają z pistoletów laserowych, a potem tata stoczył zażarty pojedynek na miecze świetlne (plastikowe) z Kubusiem Puchatkiem, za którego był przebrany, jak się potem okazało, pan od matematyki. Podobno podrywał mamę. Stach był na szczęście w przebraniu Czubaki, więc nikt nie widział jego zaczerwienionej ze wstydu twarzy.

– Przyniosłam ci lekcje – powiedziała Ewa, kładąc na stoliku plecak z zeszytami. – Możesz spisać, co dzisiaj było.

– A co było?

– Właściwie nic nie było.

– Dzięki...

Usiedli naprzeciwko siebie. Zapadło milczenie. Mama wyszła z furgonetki, postawiła przed Ewą lemoniadę, zerknęła na Stacha, który z przesadnym skupieniem przeglądał właśnie zeszyty, a potem przewróciła teatralnie oczami i poszła po drugą szklanę.

- No to jak będzie nazywała się ta twoja gra? – spytała wreszcie Ewa.
- Która?
- Ta pierwsza.
- Ta, nad którą teraz pracuję?
- Tak.

Mama postawiła przed Stachem szklanę. Natychmiast zaczął z niej głośno siorbać, żeby dać sobie trochę czasu na opanowanie spanikowanych myśli. Jak będzie nazywała się jego pierwsza gra? Skąd miał wiedzieć? Przecież dopiero ją wymyśla!

- Latający talerz – powiedział.
- Ooo... – Ewa mimowolnie zerknęła na odrapaną furgonetkę. – Bardzo oryginalnie.
- Dzięki... – Znowu zaczął siorbać.
- A na czym będzie polegała?
- Gra?
- No, a o czym mówimy?

Stach z rozczarowaniem stwierdził, że lemoniady było bardzo mało – i że nie ma już czym siorbać. Rozejrzał się bezradnie. Pan Jarek, ten od śledzi, pomachał mu przyjaźnie. Pani Anetka rozstawiła przed swoją przyczepą tablicę z napisem: „Najdłuższe zapiekanki”.

- To trzeba sobie wyobrazić – wymamrotał Stach.
- Spokojna głowa, mam wyobraźnię.

Poczuł, że się rumieni i że chętnie chodziłby w przebraniu Czubaki cały czas, zwłaszcza teraz. Ewa nie spuszczała z niego wzroku.

- To będzie naprawdę prosta gra... – zaczął.
- I dobrze.
- O jedzeniu.
- Lubię jeść!
- Tyle że jest przy niej dużo roboty, bo muszę najpierw sporo sprawdzić...
- Co na przykład?

– Na przykład, jaki wpływ na środowisko ma uprawa awokado? Albo skąd zimą trafiają do Polski szparagi? I tak dalej...

Ewa wstała, podeszła do okienka, zamówiła firmowego burgera z guacamole („Uśmiech ufoluda”), a potem wróciła do stolika.

– Ale na czym konkretnie będzie polegała gra?!

No więc opowiedział: że gracz wcieli się w gościa restauracji, że zamówi jakieś danie (pizzę, spaghetti, kurczaka i tak dalej), ale zanim je dostanie, będzie musiał doprowadzić, w grze oczywiście, do wyprodukowania konkretnych składników. Jeśli na przykład zamarzy mu się stek, na dodatek tani, to będzie musiał wyciąć ileś tam hektarów lasu – na pastwiska dla bydła, ale i na uprawę roślin, z których jest wytwarzana żywność dla hodowlanych zwierząt. Trzeba też będzie zwierzęta poić, a to wymaga naprawdę dużo wody, no i trzeba też będzie coś zrobić z ich odchodami, a potem jeszcze z ich ciałami, bo przecież ludzie nie wszystko zjadają i pewnie nie każdy fragment zabitego zwierzaka wykorzystują...

– Czyli będzie to trochę horror, tak? – wyrwało się Ewie.

– Też. Bo wyobraź sobie, że zamawiasz deser, coś słodkiego – Stach zapalał się coraz bardziej – a w grze przy każdym daniu masz informację, z czego zostało ono wyprodukowane. I tam jest wyraźnie napisane, że aby powstał twój deser, należało użyć oleju palmowego. Zanim więc go dostaniesz, przenosisz się takim specjalnym latającym talerzem w miejsca, gdzie można uprawiać palmy na olej palmowy. Wycinasz rosnącą tam dżunglę, wyłapujesz albo zabijasz orangutany, które dotąd tam mieszkały, zmuszasz mieszkańców tamtejszych wiosek, aby się gdzieś przenieśli i...

– „Uśmiech ufoluda” dla szanownej pani. – Tata uklonił się Ewie i postawił przed nią talerz z burgerem. – A ty tak nie odlatuj – przestrzegł Stacha.

– Nie odlatuję, tylko tłumaczę!

– To przynajmniej nie krzycz.

– Nie krzyczę!

– Wszyscy cię słyszą.

– Nikt mnie nie słyszy!

– Ja słyszę – zapewniała Ewa.

– Ja też – powiedziała mama, nie wychodząc z furgonetki.

– I ja – dorzucił życzliwie pan Jarek, ten od śledzi.

A pani Anetka od zapiekaneł pokiwała tylko głową.

Najważniejsze jednak, że słyłzał go także pewien pucołowaty pan, który chwilę wcześniej zamawiał kawę u pani Basi po drugiej stronie alejki.

– A mnie interesuje – powiedział, wychodząc z za furgonetki – czy taką grę dałoby się opracować jako aplikację na smartfona?

– Co za problem? – Stach wzruszył ramionami.

– Ale tak, żeby można było oceniać prawdziwe restauracje? Lub takie miejsca jak to? – wskazał „Latający talerz”. – Żeby zanim tu ktoś przyjdzie, mógł sobie najpierw zagrać, sprawdzając przy okazji menu?

Tata i Ewa wbili zaciękawione spojrzenia w twarz Stacha; ten przeniósł wzrok z pucołowatego pana na koronę stadionu, potem na drzewa po drugiej stronie alei Zielenieckiej, wreszcie na budynki Saskiej Kępy – później zaś niespodziewanie sięgnął po jeden z zeszytów Ewy i zaczął w nim coś gorączkowo notować.

– Wygląda na to, że się da... – powiedział tata. – Ale chyba trochę to potrwa.

– Mam czas – odpowiedział pan pucołowaty, siadając przy wolnym stoliku. – A przy okazji chciałbym złożyć zamówienie.

– Już przynoszę menu... – Tata odwrócił się na pięcie.

– Nie, nie, ja wiem, co chcę.

– W taki razie słucham. – Tata zatrzymał się, wyciągając z kieszeni fartucha notes i ołówek.

– Sto dwadzieścia burgerów warzywnych, dzień w dzień, przez najbliższe trzy tygodnie

– wyrecytował pan pucołowaty. – Plus zestawy surówek, napoje, zdrowe przekąski. Robią państwa śniadania?

– Jeśli trzeba... – Tata przełknął ślinę. Mama wyjrzała z furgonetki. Ewa oderwała wzrok od skupionej twarzy Stacha.

– A zatem dodatkowo sto dwadzieścia śniadań dziennie – zdecydował pucołowaty. – Plus świeżo wyciskane soki. Zaczynamy pod koniec przyszłego tygodnia.

Zapadło milczenie.

Rodzice wpatrywali się w pucołowatego pana z osłupieniem przemieszonym z nadzieją i obawą, że ktoś im robi głupi kawał.

– Pan produkuje filmy, tak? – wykrztusiła Ewa. – Albo gry?

– I to, i to.

– I gdzieś tu przez trzy tygodnie będzie plan filmowy?...

– Nie była to trudna zagadka, prawda? – Pan Pucółowaty wstał od stolika.

– Sajens fikszyn? – Tata ocknął się nagle i spojrzął na niego z błyskiem w oku. – Ten film to sajens fikszyn?

– Komedia romantyczna. – Pan Pucółowaty oblał go kubkiem zimnej wody. – Czyli fikszyn, owszem, ale na pewno nie sajens. Jutro wpadnę do państwa podpisać umowę. –

Ukłonił się i ruszył w stronę parku Skaryszewskiego

– Ale skąd w ogóle pan o nas wie?! – zawołała za nim mama.

– Mamy wspólnego mechanika! – odkrzyknął.

W mieście nigdy nie zapada cisza, a jednak Stach wspominał później tę chwilę jako pozbawioną dźwięków i ruchu; cała czwórka tkwiła nieruchomo, patrząc za mężczyzną, który zniknął właśnie w parku Skaryszewskim. A gdy skryła go już zieleń, mama upuściła ściskany dotąd kurczowo talerz. Rozbił się na drobne kawałeczki, przywracając rzeczywistości jej ruchome i hałaśliwe oblicze... I był to pierwszy latający talerz w historii „Latającego talerza”, historii, której jakiś tam etap właśnie się kończył – bo jeśli mężczyzna jutro wróci z umową, wysłużona furgonetka na stałe zaparkuje na parkingu przy ulicy Międzynarodowej, a pyszne warzywne burgery będą sprzedawane z nowszego pojazdu.

Na razie jednak sza, nie zapeszajmy!

Ewa patrzy na przebudzonego do życia Stacha z sympatią, rozbawieniem, ale i z podziwem, bo doskonale wie, że jest to postać nietuzinkowa, może nawet geniusz – ciekawe więc, co tam namazał w jej zeszycie do języka polskiego?

– Rozczytasz te bazgroły? – pyta.

– Jakie bazgroły?

– No choćby te na końcu?

– Pewnie!

– To udowodnij!

Stach zaczyna więc czytać:

– „Sprawdzić certyfikaty zrównoważonego jedzenia. Przejrzeć publikacje WWF.

Skompletować bazę danych restauracji, kawiarni i tym podobnych. Zaprosić Ewę na lody...”.